№ 1. Warszawa, dnia 21 Grudnia (2 Stycznia) 1885/6 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ZABYTKI POEZYI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

II.

W sprawozdaniu naszem z poezyi Bulgarskiej, przytoczyliśmy w treści starodawny jej zabytek, epopeę o carze Krumie. Poemat ten odnosi się do czasów, kiedy koczownicza horda bulgarska, pchnięta zaborczym popędem, podbiła plemiona słowiańskie, między Dunajem a Bałkanami i rzuciła się na Carogród. Dziś znów dajemy w całkowitym przekładzie inny poemat, odnoszący się do epoki późniejszej, kiedy Bulgarya po krwawych zapasach z Ottomanami, pokonana przez nich, a w części poturczona, straciła na długo byt niepodległy.

Poemat ten, pod tytułem *Czarna Doba*, jest utworem czysto ludowym; kto go wyśpiewał, niewiadomo. Składało się na niego bezwątpienia kilka pokoleń, jak to bywa zwykle z poetycznemi utworami ludu.

Ów poemat ma przedewszystkiem charakter mityczny, sięgający czasów przedchrześciańskich, kiedy lud składał cześć siłom przyrody, uosobionym w całej hierarchii bóstw, które z nieba rządziły ziemią, za pośrednictwem wysłańców swoich. Pierwsze tu miejsce zajmuje bóg *Sur*, uosobienie słońca. Ma on do posług cały zastęp Yud Samowil, tajemniczych dziewic, które tem były w mitologii bulgarskiej, czem Wille w serbskiej, czem Rusałki u naddnieprzańskich Rusinów, a u nas leśne Boginki i Wodnice.

Obok dobroczynnych bóstw, jak *Złota Majka*, matka bogów, panująca w niebie nad Yudami, jak *Koleda*, któremu budowano świątynie (Koledniki), były złowrogie potwory, sprzysiężone przeciwko ludziom, owe trzygłowe żmije, chciwe krwi, z wiecznie rozwartą, niesytą łupów paszczą. Te potwory nie działały przecie samodzielnie, były raczej wykonawcami woli bogów, z ich rozkazu trapiły niesforną ludzkość. Można było oddalić ich wpływ, złożoną bogom ofiarą i modlitwą niewinnych dzieweczek.

Wszystkie te obrzędy i ofiary składają główny wątek poematu *Czarna Doba*, który jak mówiliśmy, głębokiej sięga zapewne starożytności. Przerabiany z pokolenia na pokolenie, otrzymał ostateczną formę po tureckim podboju. Wspomnienie obrony przeciw groźnym najezdzcom, stanowi tu krótki zaledwie ustęp, widocznie dodany do dawniejszej całości. Nie ma tu jednak naciągania. Ostatni twórca poematu, umiał wybornie dostroić obraz okropnej klęski, do złowrogich znamion, jakie ją poprzedziły, a które drudzy przed nim już opiewali. Dramatyczny ten obraz, prawdziwą jest koroną poematu. Ów król Reno, uniesiony przez Samowilę w obłoki, z królową i dzieciątkiem w kołysce i oczekujący tam aż minie czarna doba, ów król, który acz zgnieciony przemocą, nie ugiął kolana przed Turczynem, dziwnież to piękny myt, niechybna wróżba przyszłego odrodzenia Bulgaryi!

CZARNA DOBA.

Czarna doba się przywlekła,
Z czarną dobą żmija wściekła,
Przyszła z lasu w nasze strony,
Ma trzy głowy, trzy ogony.
Już stanęła w Tarnogrodzie,
Przy krynicznej siadła wodzie,
Kędy jasne płyną zdroje;
Żmija młode żre dziewoje.
Czystej dziewic krwi nie syta,
Do dnia dziewięć w paszczę chwyta,
Przeciw żmii rady nie ma,
Ogonami zmiata trzema
Na zagonach plon dojrzały,
Kłos pszenicy łyka biały.
Spustoszyła nasze zboża,
Wytępiła dziewy w kraju,
Oto weszła do seraju,
Tam dziewojka rośnie hoża,
Jedynaczka u swej matki,
Nie ma siostry, ani brata,

Carskie dziecię, cudo świata!
Strach zdjął serce dziewy gładkiej,
Za próg domu nie wybieży,
Nie zaczerpnie wody świeżej,
Bo u zdroju czyha źmija,
Wkrąg oczyma groźno strzyże,
Ogonami wciąż wywija.
„Hej, ty carze! ty wezyrze!
Krzyczy, woła ryki lwiemi,
Wiedzcież o tem, jam nie z ziemi,
Ja z niebosów tu przychodzę.
Tam bóg Sura gniewny srodze,
Jak turbanem sploty memi,
Swe okręcił bozkie czoło;
I oplotłam go w około,
Do nóg zwisłam mu od głowy,
Aż odpasał mnie na końcu,
Straszliwemi zaklął słowy,
I porzucił mnie na ziemię,
I rozpostarł mnie na słońcu,
Niech przepada ludzkie plemię!

„Zaprzysięgłam ja przed bogiem,
Opustoszyć wszystkie kraje,
Wszystkie grody i seraje,
Dziś przed twojem stoję progiem,
Twej dzieweczce rozkaż młodej:
Niech zaczerpnie w zdroju wody.
Jedynaczkę oddaj, carze,
Na objatę bogu w darze,
Tylko siłą tej objaty,
Kraj ocalisz od zatraty."

Gdy tak mówi źmija wściekła,
Bliżej zdroju się przywlekła,
Pilnie czyha na dziewoję,
A car stoi trwogą zdjęty,
Maż on dziecię rzucić swoje,
W paszczę hydry tej przeklętej?
Z miejsca porwał się nareszcie,
I ogłosić każe w mieście:
Niech obieży wieść po kraju,
Jeśli który junak młody,
Łby okrutnej hydrze zmiecie,
Car mu własne odda dziecię,
Jedynaczkę cud urody,
I osadzi go w seraju,
Jak przystało uczci godnie,
I nakarmi i napoi.

Krzyczą gońcy trzy tygodnie,
Lecz nie przybył młodzian taki,
W obec hydry kto dostoi?
Chyba junak nad junaki!
Żaden w pomoc nie poskoczy,
Nie śmie hydrze spojrzyć w oczy.

Wstaje z tronu car ponury,
W próg świątyni idzie Dury,
Do starego Bilaryna, (*)
Słodko starca napomina:
„Bilarynie, po co tobie,
W onym żywym siedzieć grobie?
Wyjść-by lepiej ztąd czasami,
Powieść okiem po mym kraju,
Ej, ty nie wiesz co się stało,
W moim grodzie, w mym seraju?
Przyszła źmija z trzema łbami,
Wyrządziła szkód nie mało,
Chciwie młode żre dziewoje,

*) Bilaryn — astrolog.

I na dziecię czyha moje,
Już nieboga nie pobieży,
Czerpnąć w zdroju wody świeżej;
Ta gadzina wzywa sroga,
Bym uczynił z niej objatę,
I przebłagał Sura boga; (*)
Za krew córki, on w zapłatę,
Z ziemi czarne zwieje chmury!

Gwiaździarz na to: „miły carze,
Pytasz czemu z progów Dury,
Ja się na świat wyjść nie ważę?
Bo bóg Sura rozsierdzony,
Ziemię w czarne skrył osłony,
Wściekłą źmiję pchnął na ziemię.
To nie źmija, raczej Lami,
To przeklęte smocze plemię,
Straszny potwór z trzema łbami,
Na słonecznym zżółkła skwarze,
Bądź cierpliwy, pozwól carze,
Niech prześpiewam w tej złej chwili
Mą gwiazdnicę, księgę jasną,
Niech zapytam Samowili,
Dorgi, Judy, czemu gasną,
Po nad nami blaski zorzy?
Czemu na nas bóg się sroży?
Ty objaty bij dla nieba,
Złe ofiarą zmódz potrzeba!

I Bilaryn jak przystało,
Wzdłuż przebiega księgę całą,
Jasną księgę, żywe cudo,
Pieśnią pyta: „Dorgo Judo,
Czemu srogi nam bóg Suro?
Przecz nasrożył na nas lice?
Czemu słońce pokrył chmurą?"
Trzy dni całe starzec śpiewa,
Od znużenia już omdlewa,
Aż prześpiewał swą gwiazdnicę,
I napadła go drzemota,
Przed nim leży księga złota;
Lecz pieśń złota już nie płynie,
Zmordowane milczą usta.
Tu przy starym Bilarynie,
Dorga Juda ścicha siada;
Na jej głowie czarna chusta,
Aż do ziemi z ramion spada,
Czarny warkocz jej rozwiany,
A jej lica nikną w cieniu;
Siadła ścicha na kamieniu,]
Zapłakała w srogiej męce,
Załamała obie ręce,
Z ust jej ciche zbieży słowo:

—„Wstań gwiaździarzu. *Sur* nam zsyła
W gniewie swoim Lami płową,
Już nam ziemię spustoszyła,
Niszczy grody i seraje,
Wkoło ziemia drży od grozy,
Wkrąg tureckie dzwonią hasła,
Lecz do boju siły staje,
Póki wiara nie zagasła;
W polu rozbić wam obozy,
Gdy z niebiosów wielki Suro,
Wasze znaki ujrzy górą,
Może skropi wasze pole,
Ciepłą wodą z studni złotej,
I rozmoże dzielną wolę,
Do walk doda wam ochoty,

(*) Sur — słońce.

Natchnie ducha w młode plemię,
I ocali waszą ziemię.

„Dalej, carze, nie trać czasu,
Zbierz dzieweczek trzy tysiące,
Do ciemnego wiedź je lasu,
Tam wypasa się na łące
Ptak ogromny, czarnopióry,
Nim zapieją rankiem kury,
Nałów, carze, w nocną chwilę,
Dziewięć ptaków, samic tyle,
Niech maleńkie twe dzieweczki,
Czarnym rąbkiem skryją lica,
Wdzieją czarne sukieneczki,
Póki słonko nie przyświeca;
Nie przystały inne szaty,
Wiedź je w święte progi Dury,
Niech Bilaryn rznie objaty.
W cześć jasnego boga Sury.
Oj objata nie wesoła,
Widzę... widzę... mrok dokoła!
Żałosnemi dziatwa głosy,
Pieśń zawiedzie pod niebiosy,
Roni łezki, włosy targa,
Z pieśnią w niebo leci skarga.
A Bilaryn ku ofierze,
Jął zarzynać czarne ptaki;
Oko starca łzami wzbierze,
Żal mu serce ścisnął taki,
Że mu z dłoni nóż wypada,
Uleciały w górę stada,
Płowa Lami leci z niemi,
I odetchnął lud na ziemi,
I bezpieczne wszystkie kraje,
Wielkie grody i seraje."

Juda mówić nie skończyła,
Z bark jej skrzydła zafurkocą,
A Bilaryn ocknął stary,
Judo! woła, Judo miła!
Nim ulecisz tam w obszary,
Daj mi jeszcze chwilkę czasu,
Powiedz, Judo, kiedy nocą,
Na łów pójdzie car do lasu,
Jaką ptaki zakląć mową?

Dorga Juda głową skinie,
—„Ej ty stary Bilarynie,
Ty gwiaździarzu pytasz o to?
Masz gwiazdnicę twoją złotą,
W niej wyraźne kreślą znaki,
Jak się łowią czarne ptaki,
Czy ci tuman oczy ślepi?
W jasnej księdze czytaj lepiej!"

Starzec w księgę patrzy długo,
Zbiegł stronnicę jedną, drugą,
Tam jasnemi stoi słowy,
Kiedy pójdzie car na łowy,
W las cienisty między drzewa,
Niechaj taką pieśń zaśpiewa.

„Eukulu! Kmieciu stary,
Co masz w głębi twej pieczary,
Wielkie ptaki z pierzem czarnem,
Poisz wodą, karmisz ziarnem,
Uczyń dziadku, jak ci każę,
Przynieść mi tu wnet po parze,
Dziewięć ptaków, samic tyle,
Bogu będzie z nich obiata,
Aby w nocy czarną chwilę,
Suro klątwy zdjął ze świata."

Słyszy pasterz, idzie żywo,
Wiatr kołysze brodą siwą,
Na głos cara brnie po lesie,
Złotą rószczkę w ręku niesie,
I pokłonem uczci cara,
Czarnych ptaków nad nim chmara.

„Same, rzecze, lecą, panie
Posłyszały twe wołanie,
I czarnemi szumią pióry,
Niech je złowią twe dziewoje,
Do świątyni wezmą Dury,
Do twojego Bilaryna,
On te ptaki, pozarzyna."

Car opuścił próg świątyni,
Wraca żywo do seraju,
Wedle księgi wszystko czyni,
Wkoło gońce śle po kraju,
Przywiedziono chmarę dziatek,
Trzy tysiące ma dziewoi,
Każdej ledwie dziewięć latek.
W czarny rąbek je przystroi,
Jak przystało w czarnej dobie,
I do lasu wiedzie nocą.
W lesie pusto niby w grobie,
Ptaszki nawet nie świegocą,
Tylko smętno szumią drzewa,
A car idzie, idąc śpiewa.
Aż mu serce pęka z bólu,
Głos po cichym rozbrzmiał lesie:
„Eukulu! Eukulu!
Ty co pasiesz czarne ptaki,
W lot par dziewięć złów mi w górze,
Na ofiarę Bogu Surze!"

Zachrzęściły nagle krzaki,
Dziad w zanadrzu ptaki niesie,
I przed carem w darze składa.
W górę pierzchły ptaków roje,
Car zawoła na dziewoje:
Chmara dzieci w lot przypada.
Po jednemu ptaki bierze,
Za czarniuchne chwyta pierze
I podąża dziatwy chmary,
W progi Dury, śladem cara,
Tam Bilaryn gwiaździarz stary,
Czeka z nożem na ofiary.

Do świątyni idą dzieci,
Czarny pomrok pada z góry,
Ranna zorza im nie świeci,
Wchodzą cicho w progi Dury.
Stary gwiaździarz w progu stoi,
Bierze ptaka z rąk dziewoi,
Czas mu złożyć dań ofiarną,
Oj żałobna toż obiata!
Gdzie rzuć okiem wokół świata,
Wszędzy pusto, wszędy czarno!
A dziewojki pieśń zapieją:
„Oj ty Boże, Boże Suro!
Czemu wokół ta żałoba?
Rychłoż minie czarna doba,
Czemu lica twe czernieją?
Przecz poglądasz tak ponuro,
Na świat okiem zagniewanem?
Zbyt się długo złe przewlekło,
Przecz twe czoło jak turbanem,
Okręciłeś żmiją wściekłą?
I na ludzkie gniewny plemię,
Strasznym gadem ciskasz w ziemię,
Gad rozpasał się po kraju,
W próg carskiego wkradł seraju,
Tam na carskie czyha dziecię,
Biedny ojciec sam na świecie,
Nie ma żony, nie ma syna,
Wszystkiem córka mu jedyna;
Ty się zmiłuj dobry boże,
Spuść nam z nieba jasną zorzę,
Rychło dobę wróć nam białą,
Niech zbieleje co zczerniało;
Niech piekielne pierzchną *Zliny*, (*)
I zakwitnie kraj bogaty,
Niech dzieweczce swej jedynej,
Car bieluchne sprawi szaty,
Srebrzystemi niech się rąbki
Przyozdobi liczko świeże,
Niech Bilaryn ku ofierze,
Bogu siwe rznie gołąbki,
Wykarmione czystym chlebem,
Słociuchnego tyle mleka.
Niech pod jasnem twojem niebem,
Rozpostarty mrok ucieka."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(*) Zliny — uosobienie złego.

RYCERZ MORA.

I.

Szalona zawierucha zerwała się pod wieczór jednego z dni listopadowych 1655 roku, w dziejach naszych zapisanego. Gęsty, suchy śnieg padał a szarpany wichrem, rozbijany przezeń na drobniutkie cząsteczki, zakrywał świat niby płachta szara i mętna. Wszystkie drogi, pola i domy ludzkie, zasypane były śniegiem, który kiedy niekiedy porywał z ziemi wicher jak białą, powietrzną kolumnę i niósł gdzieś daleko. Tu i owdzie widać było szczerą ziemię, tak wietrzysko wymiotło tam śnieg, by zaraz w pobliżu utworzyć zeń wysoką górę. Biada temu, który w taki czas odbywał podróż! Noc, która szybko zapadła, noc czarna, bezwzględna, zwiększała okropność i podwajała niebezpieczeństwo.

To też cicho było w nędznej wiosczynie, złożonej z kilkunastu słomą krytych chałup i z drewnianego, przysadzistego dworku. Widocznie wszyscy mieszkańcy ukryli się po chatach przed tą straszną zawieruchą, która szalała po wsi, wyjąc między opłotkami jak stado wściekłych wilków. Od czasu do czasu tylko z pośrodka tumanów śniegu, wirującego po ulicy wioski, wyglądały krwawe blaski ognisk palących się po chałupach; czasem pies zaszczekał, lub głucho zatrzeszczały suche, bezlistne gałęzie rosochatych wierzb, rosnących koło drogi.

We dworze panowała także cisza. W dużej izbie, do której pierwsze na prawo drzwi prowadziły z sieni, przedzielającej cały dom na dwie połowy, izbie obszernej, o trzech oknach, mrocznej i posępnej, palił się na kominie wielki pień smolnego drzewa i rzucał krwawe, migotliwe blaski na wszystkie przedmioty. Światło ognia nie mogło rozjaśnić ponurych cieniów, zalegających wszystkie kąty izby. Niekiedy tylko, gdy wicher wyjąc wpadał jak potępieniec do komina i dmuchnął ogniem na zewnątrz, wtedy dostrzedz można było ciemną, w wielu miejscach podartą makatę na ścianach, czarne portrety i szare, pościerane złocenia na kilku sprzętach tej komnaty. Blask ten nagły oświetlał także mężczyznę, siedzącego w posępnej zadumie i ciszy na wygodnem z poręczami krześle przed kominem. Krzesło było stare, obite skórą, niegdyś z pańska suto na poręczach złocone, dziś obdarte, zniszczone i bezczelnie trzęsące się włosiem wyłażącem z pod podartej skóry. Sam mężczyzna na niem siedzący, twarzą do ognia, miał ręce wsparte na obu poręczach z dziwnie niedbałem i melancholijnem obezwładnieniem, nogi w dużych butach po kolana z juchtowej skóry, wyciągnięte przed siebie i głowę spuszczoną na piersi. Ubrany był w krótki żupan z grubego sukna bernardyńskiej barwy, w pas, niegdyś suto przetykany srebrem, dziś zniszczony, jak wszystko w tej ponurej izbie i świadczący o dawnym splendorze, a teraz ubóstwie właściciela. Był to jeszcze młody, zaledwie dwudziestokilkoletni człowiek, o bujnym i miękkim wąsie, jasnej jak len barwy, twarzy gładkiej, prawie pięknej, tylko niewypowiedzianie smutnej. Wielkie jego, błękitne oczy, z wyrazem żalu i bolu, błądziły po syczących ognikach, pożerających kłodę i zdawały się myślą błądzić gdzieś daleko. Usta rumiane były także zagięte smutnie i na całej twarzy malowało się zniechęcenie, prawie rozpacz.

Siedząc tak przed ogniem, którego trzask był jedynym głosem napełniającym tę izbę, młodzieniec nie ruszał się wcale i zdawał się tonąć w jakichś ponurych myślach. Cisza była zupełna, niczem nie zakłócona dokoła, jeżeli można nazwać ciszą odgłosy szalejącej burzy na dworze, dostające się tutaj i napełniające izbę przytłumionem, głuchem wyciem, piskiem, świstem. Ogień z komina oświetlał krwawo zrozpaczoną twarz młodzieńca, jego włosy jasne, krótko podgolone, strzępki srebra na jego pasie; zapalał jakieś blaski na szczątkach złoceń krzesła, padał na wąsatą twarz portretu, wiszącego wprost komina. Na posadzkę, niegdyś misternie ułożoną, dziś wydeptaną i tu i owdzie prostą deską zasłaną, kładł się od komina szeroki pas światła, nie mogącego rozpędzić ponurych cieniów, tłukących się po kątach izby. Kiedy niekiedy młodzieniec ciężko wzdychał, nie ruszając się zresztą wcale.

Tę ponurą zadumę młodzieńca i tę ciszę izby, przerwał nagle odgłos roztwierających się z trzaskiem drzwi w sieni, stuk ciężkich kroków i we drzwiach komnaty ukazała się jakaś wysoka postać. Przez chwilę nowoprzybyły ukryty w cieniu stał w milczeniu, poczem głosem cichym, przytłumionym i jakby dobytym gdzieś z grobu, ozwał się:

— Niech będzie pochwalony!

Na te słowa młodzieniec, jak gdyby zbudzony z przykrego snu, porwał się na równe nogi, odsunął z trzaskiem ciężkie krzesło i zawołał głosem donośnym:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Kto tu!

Nowo przybyły powoli wszedł do izby, drzwi zamknął i nie ruszając się od tychże drzwi, rzekł grobowym, gardłowym głosem:

— I ja Go chwalę — a nie jestem też duch żaden, jeno Samuel Lniski, szlachcic pomorski!

— Lniski! — zawołał gospodarz weselszym już nieco głosem, choć w głosie tym czuć jeszcze było ową łzawą zadumę, jaka go przed chwilą opuściła. — Lniski! Samuś! a chodźże, niech cię uściskam!

I roztworzywszy szeroko ręce, szedł ku onemu szlachcicowi pomorskiemu, a pod jego krokami

zepsuta posadzka komnaty skrzypiała szkaradnie.

Tymczasem Lniski otrząsnął się ze śniegu, który na jego szerokiej opończy leżał całemi warstwami i topnieć już począł w ciepłej izbie, zdjął tę opończę i szedł ku młodzieńcowi także z rozwartemi rękami.

Był-to mąż olbrzymiego wzrostu, ale dziwnie chudy i cienki, a kiedy szedł, to nogi trzymał tak prosto, jak gdyby nie były jego własne, tylko przyprawione z drzewa. Na głowie miał nizki, okrągły hełm żelazny, mocno zardzewiały i przyprószony śniegiem, na piersiach pancerz ze złotą gwiazdą i u boku długi, prosty miecz niemiecki. Wielkie buty uzbrojone w ostrogi, związane były ponad kolanami podwiązką rzemienną. Szedł ciężko, dzwoniąc ostrogami i mieczem, wyciągając przedsię ręce, ubrane w długie, z łosiowej skóry karwasze. Twarz chuda, zawiędła, o ostrym, wystającym nosie, z pod którego sterczały wąsiska czarne i duże jak wiechcie, miała wyraz spokoju zimnego i poważnego. Maleńkie, zagłębione oczka, czarne jak węgiel, odbijały w sobie krwawy blask ogniska.

— Zkądżeś się tu wziął, Samusiu? Prędzejbym się śmierci spodziewał, niż ciebie! — wołał gospodarz, przypatrując się ciekawie swemu gościowi.

— Tak! śmierć cię nigdy nie minie, a ja cię minąć mogłem! — odrzekł na to swym grobowym głosem Lniski.

I oglądając się dokoła, przyczem cały się obracał, jak gdyby był z drzewa wyrzezany i w stawach nie miał żadnych zawias, dodał cicho, na pół do siebie:

— Wszystko tak jak było.

Poczem, nie patrząc na gospodarza, usiadł ciężko na wielkiem krześle przed ogniem, wyciągnął nogi, pochylił się naprzód i wpatrzył się w trzaskające ognisko komina.

— Ale cóż milczysz jak ryba! — zawołał gospodarz — gadajże mi, zkąd jedziesz w taki paskudny czas? Przecie byłeś, słyszę, w dywizyi pana Czarnieckiego, a ten się bije ze Szwedami? Co się z tobą stało?

Lniski obrócił się cały do stojącego przed nim młodzieńca, spojrzał nań uważnie i spytał:

— A ty, Żwanie, czemu Szweda nie bijesz?

— Ja? — odrzekł z wyrazem smutku młodzieniec — ja? to całkiem co innego! Jam przeszedł, panie bracie, takie nieszczęścia i takie cięgi, żem już o całym świecie zapomniał, jeno tu siedzę w tej ruinie, jak lis w norze i gryzę się tak, że się z kretesem sam zagryzę...

Mówiąc to, chodził po komnacie zagłębiając się w jej ciemne kąty i wynurzając się znowu na światło ogniska, podobny do widma jakiego. Ręce w tył założył, głowę spuścił i na twarzy jego, rozjaśnionej przed chwilą przybyciem gościa, ukazał się melancholijny smutek i ta ponura rozpacz, którą oddychał, siedząc sam w izbie i wsłuchując się w posępne wycie burzy. Lniski śledził go oczami, nieruchomy, wyprostowany na krześle, a w zbroi jego i w złotej gwiaździe na piersi, migotały oślepiające blaski ogniska. Zdjął z głowy hełm i postawił go z brzękiem przy nogach, poczem potarł suchą, kościstą ręką swą łysą na-poły, a na-poły kruczym włosem pokrytą głowę i zagłębiając się znowu w krzesło, rzekł swym grubym, przytłumionym i jakby z trumny idącym głosem:

— Już ja nie wiem, czy może być większe nieszczęście i większa niedola, jak niedola ojczyzny.

Żwan nic nie odpowiedział, tylko wciąż chodził po skrzypiącej szkaradnie posadzce. I znowu w izbie zapanowało ponure milczenie, przerywane tylko trzaskiem palącej się kłody na kominie i wyciem wichru na dworze. Słychać było wyraźnie, jak śnieg miotany burzą uderzał o maleńkie szybki okien, które brzęczały głucho. Obadwaj mężowie milczeli, jak gdyby tu w tej mrocznej izbie siedzieli już razem z pół roku i wypowiedzieli sobie wszystko, co mieli do wypowiedzenia. Nagle jakiś silniejszy podmuch wichru uderzył o dom, zatrząsł oknami, wdarł się do komina i buchnął na izbę dymem i ogniem; to zbudziło Żwana z zadumy:

— Psi czas! zimno szkaradne!

— A tak! — odrzekł na to Lnicki, wstając powoli z krzesła — nie masz co jeść i pić? W gardle mi zaschło z kretesem i przeziąbłem do kości!

— A! bodajże mnie! — uderzył się w czoło Żwan — przy tej desperacyi mojej zapominam o wszystkiem.

I poszedł do drzwi, otworzył je na ścieżaj i krzyknął:

— Piotrze! Piotrze!

Potem, zamykając drzwi, bo wbiegał przez nie do izby zimny podmuch burzy, spytał się znowu swego gościa, nieruchomie stojącego przy krześle i wpatrzonego w ciemny kąt izby, jakby tam mógł co dostrzedz:

— Powiedzże mi Samusiu, z daleka jedziesz?

— O! z daleka! z Krakowa samego!

— Z Krakowa! a przecież Kraków poddał się Szwedom.

Gość, który w czasie tej rozmowy począł chodzić po izbie, chrzęszcząc zbroją, dzwoniąc ostrogami i mieczem, nagle się zatrzymał i rzekł takim głosem, że dreszcz przeszedł Żwana:

— W tej naszej ziemi wszystko się Szwedom poddaje. *Delenda est haec Carthago*, i nic nie pozostaje, jeno iść utopić się, albo też Szwedom buty czyścić! Ot na cośmy zeszli. Szczeźniemy jak psy ostatnie!

I zawrócił się i znowu ruszył ciężko stąpając po trzeszczącej posadzce, gdy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich człowiek siwy jak gołąb, z takiemiż wąsami, w ciemnym, długim żupanie z połami za pas założonemi.

— Piotrze! — rzekł Żwan — dajże co jeść i pić. Widzisz, pan Lniski przyjechał.

— Jak się masz, Piotrze! — rzekł poważnie Lniski, kładąc swą suchą rękę na łysej głowie chylącego mu się do kolan sługi — zawsze widzę u was jednako. Jak się masz stary! A każ tam do stajni zaprowadzić mego konia, rozkulbaczyć i daj mu co jeść, jeśli macie owies...

— O! owies to u nas w Smolarzach zawsze jest. Nic innego nie siejemy, bo się tu nie urodzi — prawił drżącym od starości głosem stary sługa.

— Każ też wiechciem wytrzeć grzbiet koniowi— rozkazywał poważnie Lniski — i okryj go derką. Zimno szkaradne!

Piotr, kłaniając się, wyszedł, a Lniski chodząc po izbie, gadał:

— Wlokę się do ciebie, mój Ignasiu, już trzy przeszło niedziele i w tej podróży stąpam jeno po ruinach i trupach i brodzę we krwi po kolana... Ot, dlaczegom smutny...

— Ale cóż się dzieje! opowiedz mi, bo ja w mej norze, za lasami i zdala od dróg, sam z mą desperacyą nic nie wiem i nic nie słyszę! — pytał Żwan.

— I jakże tu ma być dobrze z Rzecząpospolitą! — zawołał na to, stając na środku izby Lniski — kiedy oto tacy męże coby mogli wziąć się ze Szwedem za bary, siedzą jak białogłowy po kątach i o jakiejś głupiej desperacyi mi gadają! Niewolnicy jesteście a nie szlachta! — dodał głosem podniesionym i strasznym.

— A zkądże ty wiesz, mój Lniski, że moja desperacya jest głupia? — zapytał Żwan — nie gadam ci przecie o niej.

— Bo nie ma większej desperacyi, nad desperacyę nad niedolą ojczyzny. I wszystkie desperacye ludzkie, choćby nie wiem jak były wielkie, zniknąć muszą wobec tej jednej...

I zatrzymując się przed Żwanem, położył mu swą ciężką rękę na ramieniu i począł głosem przytłumionym, podobnym do dalekiego ryku lwa, prawić:

— Kraków się poddał, król na Szlązku i cała Rzeczpospolita jest w ręku Szweda. Nie ma, mówię tobie, ani kąta jednego w tej wielkiej naszej ziemi, gdzieby człowiek wolny mógł głowę złożyć! Powiadam tobie, Żwanie, po drogach trupy się walają i nikt ich nie grzebie, krucy jeno i wilcy jedzą ciało ludzkie. Nocami gdzie spojrzysz, to łuny krwawią niebo, bo nasze zamki, nasze miasta, nasze wsie Szwedy palą. Widziałem pod Pilicą panienkę szlachecką zbezczeszczoną, zabitą, obdartą z sukien i tak białego tego trupka rzucono pod las, a jeno śnieg i liście strącone z drzew zakrywają tę wstydliwą. I patrząc na to, ściskałem głownię mego miecza tak silnie, że mi oto krew z za paznogci trysła! Wściekły jestem i ta wściekłość tak mnie dusi tu w gardzielu, że chrypię jak ten co ma skonać. O, widzisz, pazurami rwałem zmarzłą ziemię i grzebałem umarłe, powieszone i białe trupki panieńskie. Grabarzem byłem przez te trzy niedziele, a niby żołnierz jestem, a gdzie się bić będę? Król na Szlązku na łaskawym chlebie u Niemca i nie ma nawet dziesięciu ludzi, coby chcieli na Szwedzie tępić swe miecze. Przekleństwo! przekleństwo!

I jak gdyby go szał jakiś porwał, podniósł obie ręce do swej suchej, bronzowej i poważnej twarzy, zakrył ją i zataczając się po izbie jak pijany, płakał głośno. Łzy mu na zbroję ciekły jak perły. Z pod tej zbroi wydobywały się krótkie, straszne łkania, jak gdyby tam coś pękało, rwało się na szczątki...

Po jego wyniosłej, trzęsącej się od wielkiego bólu postaci, ślizgały się krwawe blaski ogniska, a wicher posępnem wyciem, pełnem nieopisanej melancholii, wtórzył strasznym łkaniom rycerza.

II.

Piotr przyniósł dymiącą miskę zrazów z kaszą i gąsiorek z winem! Wszystko to ustawił na starym, pysznie rzeźbionym, ale dziś odrapanym i chwiejącym się stoliku, w pobliżu komina. Lniski zdjął z siebie pancerz i został jeno w brudnym nieco i wytartym mocno kaftanie łosiowym. Zasiedli do jedzenia i w milczeniu je spożywali. Burza wciąż szalała na dworze.

Lniski podjadłszy sobie, napił się wina, obtarł ręką wąsy i patrząc swemi bystremi, maleńkiemi oczkami na gospodarza, spyta:

— Czemu ty Ignac nie siedzisz w Parzymiechach, jeno tu w Smolarzach, wśród puszczy jak wilk jaki?

— Bo Parzymiechy już nie moje.

— Sprzedałeś je!

— Tak...

— Komużeś je sprzedał?

— Panu krakowskiemu.

— Warszyckiemu?

— Tak.

Żwan odpowiadał niechętnie, półsłówkami i nalawszy sobie pełną szklanicę wina, wypił ją duszkiem, z trzaskiem postawił naczynie na stole i zerwawszy się z siedzenia, znów począł swą nieskończoną peregrynacyę po komnacie. Lniski patrzał na niego, patrzał i przez jakiś czas milczał, poczem rzekł:

— Ja te Smolarze znam. Za życia twego nieboszczyka ojca, polowaliśmy często w tych puszczach, co tu leżą dookolusieńka i nieraz po całym tygodniu w tym oto dworze mieszkaliśmy. Ale to było polowanie, rzecz całkiem inna, ale siedzieć tu, w takiej norze i do tego w zimie!... Już-to mój Ignac, musiała cię ostatnia potrzeba przycisnąć, kiedyś Parzymiechy sprzedał. Toć to było złote jabłko w Wieluńskiem, pszeniczna ziemia. Musiałeś kupę grosza wziąć za Parzymiechy?

— Nic nie wziąłem.

— Jakto?

— Podarowałem je panu Warszyckiemu!

— Kpisz, czy co? Warszyckiemu podarował! Mój kochany, ciebieby Warszycki mógł utopić w złocie.

— A jednak tak jest, podarowałem mu Parzymiechy.

— Jak Pana Boga kocham, nic nie rozumiem. Albo ja głupi, alboś ty głupi, mój Ignac. Jakże to może być, żebyś ty, chudopachołek, darowywał wsie panu z panów. To coś całkiem nowego i jak świat światem niesłychanego. Więc to prawda co mi mówisz?

— Święta prawda.

— No! oszalałeś chyba człeku. I Warszycki przyjął twój podarunek?

— Nie!

— A więc czyje są Parzymiechy?

— Niczyje!

Lniski podniósł się na zydlu z wyrazem zdziwienia w swych maleńkich oczkach, wyciągnął długą szyję i tak patrzał na chodzącego wciąż po izbie Żwana. Ale widocznie nie znalazł wytłomaczenia zagadki, jaką mu dał ten ostatni do rozwiązania, bo zagłębił się znów w krzesło i rzekł swym ponurym głosem:

— Źle się dzieje w tej naszej Rzeczypospolitej i źle będzie. Szlachta widocznie szaleje...

— Ot co tu gadać! — zawołał na to Żwan, stając nagle — w tem wszystkiem, co ci mówię, mój Samusiu, nie ma nic dziwnego. Warszycki chciał odemnie kupić Parzymiechy, bo mu klinem właziły w jego państwo, a ja sprzedać nie chciałem, odmówić zaś nie mogłem, więc podarowałem. Masz wszystko coś chciał wiedzieć!

Rzekłszy to westchnął głęboko, machnął po desperacku ręką i znowu począł chodzić po izbie, skrzypiąc posadzką haniebnie.

Lniski przez chwilę milczał, jak gdyby zastanawiał się nad tem co usłyszał, a potem rzekł spokojnie:

— Pańska to fantazya, mój Ignac. To może czynić jaki Potocki lub Radziwiłł, a nie Żwan. Ja ci to gadam, bom twój krewniak, twoja matka była moją stryjeczną i starszy teżjestem od ciebie. Więc ci gadam, że to strasznie głupio było, jak Boga kocham, strasznie głupio. I cóż ty teraz czynić będziesz? O ile pomnę, w Smolarzach jest tylko kęs mizernego owsianego gruntu, dużo lasu i dziesięciu chłopów...

— Dwunastu kmieci.

— Ba! dwunastu! gdzież tu żyć na dwunastu chłopach i w takiej dziurze? I patrzajże, jak tu wszystko rwie się. Jam tu przyjechał do ciebie w ważnem poselstwie i widzę, że z tego nic nie będzie. Ot nowa deska ratunku wymknęła mi się z ręki...

Spuścił na piersi swą chudą, łysą głowę i wsmutnej pogrążył się zadumie.

— Cóżeś ty, Samuś, chciał odemnie?

— A! co to gadać. Na nic się to już nie zda. Ale opowiedz no mi dokumentnie, jak to było z tym Warszyckim? Bo widzisz, cała ta historya patrzy mi na jakąś bajdę...

— A jednak jest-to prawda.

— No, niechże będzie prawda. Opowiedzże mi tę prawdę, może co na nią poradzimy.

— Tu nie ma żadnej rady.

— Wolno, wolno! opowiedz jeno wprzódy a potem będziemy gadali o tem, czy rady nie ma. Bo widzisz, mój Ignac, jam twój krewniak i sam na świecie jak palec, a serce mi się tak krwawi, jakby...

Nie skończył, bo nagle wiatr przyniósł naszczekiwanie głośne psów na dziedzińcu, turkot wozu i głosy jakieś ludzkie. Zaraz potem rozległo się ciężkie szłapanie po sieni, drżący głos starego Piotra, roztworzyły się szeroko drzwi i ukazała się w nich ciemna, gruba, osypana śniegiem postać. Z pod wysokiego czarnego kaptura, nasuniętego na głowę i sterczącego wysoko, rozległ się gruby, basowy ale rzeźwy głos:

— *Laudetur Jesus Christus!*

I zaraz też, nim Żwan i Lniski mogli zebrać myśli i odpowiedzieć, wtoczył się do izby krokiem ciężkim ale cichym nizki mężczyzna, ubrany w opończę baranami podbitą. Z pod kaptura widać jeno było długą, ciemną brodę, na której śnieg leżał kupkami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA
DO
PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. P.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Okolica w której zamieszkiwał major Greely ze swymi podwładnymi, była pewnego rodzaju pustynią w pustyni; mimo troskliwych poszukiwań nie można było dostrzedz śladów żadnego zwierzęcia, którego mięso mogłoby zwiększyć posiadane zapasy. Co dziwniejsza, że nawet głębie oceanu w tem miejscu pozbawione były ryb. Wedle zdania doktora Pawy, okoliczność tę należało przypisać jakiemuś szkodliwemu pierwiastkowi znajdującemu się w wodzie, wypełniającej zatokę na której brzegach zamieszkiwali. Objaśnienie to nie trafia do naszego przekonania, skutkiem odpływu i przypływu morza, woda ulegając ciągłej zmianie nie może składem swym różnić się od ogólnego jej zbiorowiska.

Samo jednak zjawisko jest niewątpliwe, nie zdołano pochwycić żadnej ryby mimo wielokrotnych usiłowań.

Od czasu do czasu tylko zjawiało się na sąsiednich lodowiskach jakieś zabłąkane cielę morskie, zawsze w znacznej odległości od obozu.

Eskimos Jens wprawny łowca, prawie codziennie uskuteczniał myśliwskie wyprawy, choć bardzo rzadko mógł poszczycić się ubitą zdobyczą.

W wycieczkach tych zagrożony był zawsze wielkiem niebezpieczeństwem, gdyż lodowiska na których polował, skutkiem burzy lub gwałtowniejszych prądów morskich ulegały częstym zmianom, pod względem swego położenia, znajdujący się więc wśród nich myśliwy, z łatwością mógł być unieslonym na pełne morze, gdzie oczekiwała go śmierć niewątpliwa. Jens wiedział bardzo dobrze, że naraża życie po większej części nieużytecznie dla siebie i drugich, ale na robione mu w tej mierze uwagi odpowiadał spokojnie.

— Wolę gwałtowną śmierć, aniżeli powolne konanie z zimna i głodu.

Nietylko jednak niespodziany a dosyć częsty ruch lodowisk, ale więcej jeszcze znajdujące się między niemi rozpadliny były groźne dla zbyt przedsiębierczego łowca. Przykryte śniegiem lub cienkim lodem dawały na pozór pewną podstawę dla idącego, ale w rzeczywistości były to miejsca nader zdradzieckie, jako ukrywające przepaść, do której wpadając nie było najmniejszego środka ratunku. Podróżny wspinający się, na wyniosłe góry alpejskie, w razie obsunięcia się może napotkać zielska, badyle, krzaki, niekiedy nawet gałęzie drzew, dające jakikolwiek punkt podpory, za nim współtowarzysze pospieszą z ratunkiem.

Pod północnym biegunem nie ma żadnego ratunku. Jens długi czas bezkarnie uskuteczniał wzmiankowane wycieczki; jako syn północy, umiał zachować konieczną w takich razach ostrożność, zanim stawił krok naprzód, badał dokładnie trzymaną w ręku dzidą podejrzane miejsca.

Jakto powiedzieliśmy, dotychczasowa zdobycz myśliwska była nieznaczna, zasadzała się jedynie na ubiciu nader rzadkiem młodej foki, gdyż starsze ostrożniejsze, za najlżejszem szmerem znikały w głębinach morskich.

Jens raz spostrzegł leżącego na lodowisku ogromnego morsa, który jakoś wyjątkowo pozwolił zbliżyć się do siebie. Eskimos mierzył długo zanim dał ognia, posłana celnie kula zraniła śmiertelnie morskiego zwierza, który uciekając z trudnością przed myśliwym dostał się na sąsiednie lodowisko i tam spoczął bezwładnie.

Jens wydał okrzyk radości, mogąc choć obrzydliwem tem pożywieniem zaspokoić na czas jakiś głód swoich towarzyszów.

Zajęty głównie tą myślą, a przewidując czekające go pochwały, zapomniał o zachowaniu koniecznych ostrożności; zamiast badać dzidą miejsca podejrzane, podniósł takową w górę i biegł o ile możność najspieszniej dla zabrania swej zdobyczy. Niestety! pomiędzy nim a ubitym zwierzem znajdowała się rozpadlina, której on nie dostrzegł mając wlepione oczy w leżącego morsa. Cienki lód nie wytrzymał ciężaru ciała Jensa i biedak zniknął

w morskiej przepaści, tak jak sobie życzył bez długiej męki, padając ofiarą poświęcenia swego dla bliźnich.

Strzał karabinu i radosny krzyk Jensa dosłyszano w obozie; był-to wypadek niezwykły, wszyscy więc wybiegli na spotkanie niezmordowanego łowcy, mając nadzieję pocieszyć się widokiem ubitej zwierzyny i w razie potrzeby pomódz myśliwemu do jej przeniesienia. Wkrótce jednak stanęli nieruchomo, rozpatrując niespokojnie znajdujące się przed ich oczami lodowiska. Nigdzie nie mogli dostrzedz lubianego przez wszystkich towarzysza, którego poświęcenie i pracowitość umiano ocenić jak należy. Głębokiej ciszy nie przerwał nawet krzyk rozpaczy, śmierć nastąpiła tak szybko, że biedny Eskimos nie miał czasu go wydać. Morska otchłań ukryła starannie pochwyconą zdobycz; zaszły wypadek nie miał innego świadka prócz bezwładnych lodowisk, budzących w duszy co najmniej smutne wrażenie jeżeli nie rozpacz. Przez długi czas robiono staranne poszukiwania, aby przyjść z pomocą a w ostatku odszukać ciało dzielnego myśliwca.

Znaleziono tylko leżący na lądzie karabin, a nieco dalej zabitego morsa, do którego jednak przystęp był niepodobny, z powodu otaczających go ze wszystkich stron kotlin wodnych.

Nietylko jednak Jens ale i Pawy usiłował znaleźć nowe źródło utrzymania. Badając w różnych miejscowościach zatokę, dostrzegł w niektórych licznie zgromadzone krewetki, będące pewnym rodzajem małych raczków. Nie był to wielki dar Opatrzności, bo na wytworzenie jednego grama wagi potrzeba było kilkanaście sztuk, gdyż długość ich nie dochodziła cala, a grubość nie wiele większą była od osady gęsiego pióra. Zawsze to jednak coś znaczyło. Co do ich sposobu życia, to można tylko tyle powiedzieć, że przenosiły się szybko z miejsca na miejsce, znikając za najmniejszym szmerem. Potrzeba było wielkiej cierpliwości i wprawnego oka, aby je dostrzedz; nie byłby ich wyśledził doktor Pawy, gdyby nie długi pobyt między Grenlandczykami.

Z powodu właściwej krewetkom ostrożności niepodobna było używać sieci dla ich złapania, ale doktor wymyślił inny środek zasadzający się na małych wędkach, zastosowanych do wielkości tych stworzeń, a wyrobionych ze szpilek, po odpowiedniem zakrzywieniu takowych. Do wędek przecież konieczną jest odpowiednia przynęta, znalezienie takowej nastręczało wielką trudność, niepodobna bowiem było używać do tego celu resztek znajdujących się artykułów żywności, które oszczędzano troskliwie.

Dosyć przytoczyć w tej mierze, jako dowód, tę jedną okoliczność, że skoro tylko słońce ukazało się choć na chwilę po nad horyzontem, major skasował oświetlenie lampą przeznaczając oliwę wyłącznie na pokarm.

W chwili rozpraw dotyczących tego przedmiotu, jeden z rozbitków wypowiedział zdanie, choć nader oględnie i z pewną obawą, aby do tego celu użyć ciał zmarłych.

— W żadnym razie — zawołał żywo major — nie zezwoliłbym na użycie podobnego środka. Wprawdzie wszystko jedno czy ciało nasze zjedzą robaki czy krewetki, ale nam niewolno naruszać wiecznego spoczynku zmarłych, odmienna zasada mogłaby nas poprowadzić zbyt daleko.

— Szlachetne zdanie, za które dziękuję ci serdecznie, majorze — zawołał doktor Pawy, jakby chciał zwrócić baczną uwagę wszystkich na wydane postanowienie.

John słuchając doktora, zmieszał się nieco, a później zmarszczył rzucając groźne spojrzenia.

Skoro Pawy wstawszy z miejsca przechodził około Niemca, ten wypowiedział jakieś zdanie po niemiecku będące niewątpliwie przekleństwem.

Doktor podszedł śmiało ku niemu mówiąc:

— Nie rozumiem po niemiecku i nie chcę nawet słyszeć dźwięku tego języka. Proszę więc mówić do mnie po angielsku i nie inaczej tylko po angielsku.

John zbladł ale nie odpowiedział ani słowa; widocznie nie chciał, aby kwestya ludożerstwa stanęła na porządku dziennym. Pawy również na teraz nie myślał rozmazywać tej sprawy, przedewszystkiem chodziło mu o zebranie stanowczych dowodów, nieusprawiedliwiona bowiem skarga mogła wzbudzić podejrzenie, że zanoszący takową ulegał wpływowi międzynarodowej nienawiści.

Wszyscy członkowie naukowej kolonii wiedzieli dobrze o praktykowanem ludożerstwie, John miał niewielką liczbę wspólników, przyjmujących udział w tak wielkiej uczcie; inni wiedzieli tylko z wieści o popełnianej, ale od tej chwili niedowierzanie wzajemne zakradło się do obozu, nikt nie śmiał zapytać drugiego o stan zdrowia, aby czasem nie być posądzonym o złowróżbne zamiary.

Stosunek taki zwiększył jeszcze doznawane cierpienia fizyczne i moralne, skoro poufna rozmowa i szczere wypowiadanie myśli okazało się niepodobnem.

Wśród tylu nieszczęśliwych jeden tylko chory Ellison nie tracił wesołości. Zdawało mu się wśród złudnych przywidzeń, iż witał radośnie swoją żonę, dziatki, krewnych i przyjaciół, jakby już powrócił do Ameryki; następnie siadał niby do stołu prosząc wszystkich obecnych do towarzystwa i opowiadając szczegółowo zastawione przed nim potrawy jedne smaczniejsze od drugich, mówiąc: jakże wybornie upieczona kura! co za smaczna ćwiartka baraniny! podajcie szynkę, porter angielski i t. d., bez wypoczynku jakby chciał bez względu na własne potrzeby urągać nędzy towarzyszów. Mówiąc to naśladował ustami wybornie jedzącą ze smakiem osobę.

Nikt nie miał ochoty do mówienia, słuchano więc w milczeniu tyle dręczących wykrzykników, nie mogąc chorego zniewolić do spokojności.

Jeden tylko Pawy od czasu do czasu zabierał głos, zawsze w jednym i tym samym celu, aby odwieść towarzyszów od grasującego między niemi ludożerstwa. Widocznie myśl ta trapiła go bezustanku, nie miał jednej chwili spokojnej, lękając się o los swój pośmiertny. Nie można inaczej wytłomaczyć tyle szczególnego zjawiska, jak tylko cierpieniem spowodowanem przez mróz i niedostatek.

Wkrótce jednak umysły wszystkich zwrócone zostały choć na chwilę ku innemu przedmiotowi.

Strzegący zapasów żywności spostrzegł kradzież artykułów, powierzonych jego pieczy. Popełniający tego rodzaju zbrodnię, dotychczas zachowywali wielką ostrożność, biorąc po trochu z każdej paki; chcąc sprawdzić nieprawy ubytek wypadałoby za każdym razem spisywać dokładny inwentarz pozostałości. Przy niepodobieństwie uskuteczniania codziennie podobnej kontroli, dokonywana kradzież uchodziła długo bezkarnie, czem ośmieleni jej sprawcy postępowali coraz otwarciej, aż nareszcie zginęła mała dwufuntowa szynka, strzeżona z taką samą troskliwością przez szafarza, z jaką jubiler strzeże drogocenne kamienie.

Robert pełniący obowiązki szafarza, bezzwłocznie zawiadomił majora Greely o zaszłym wypadku.

— Wczoraj jeszcze szynka znajdowała się na właściwem sobie miejscu, dzisiaj znikła bez śladu. — Prosił więc o surowe śledztwo i dokładną rewizyę wszystkich bez wyjątku, aby zniweczyć wszelkie podejrzenie skierowane do jego osoby.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Rok nowy. — Czem był. — Czem się odznaczył. — Bulgarya. — Bulgarowie. — Serbowie. — Konstytucya nadana przez Rossyą. — Książę Aleksander i jego pochodzenie. — Młodzież bulgarska. — Zjazd jej w Wiedniu. — Przyjęcie jej przez młodzież innych narodów słowiańskich. — Pożegnanie na dworcu kolei. — Legion bulgarskich Żydów. — Jego waleczność. — Rauty we Lwowie. — Słówko o karnawale. — Mrozy we Włoszech. — Zabawne zdarzenie.

Otóż mamy rok nowy, z błogiem przypuszczeniem spełnienia pragnień różnej treści i tej nieokreślonej pewności, że choć odrobinka dobrego przyświeci ziemi i naprawi złe przez rok zeszły nabrojone.

Co prawda, nie był on ani miłem dzieckiem, ani powabnym młodzieńcem, ani ujmującym powagą dojrzałym mężem, ani wreszcie pełnym szacunku starcem. Jedyna chwała jego, cisza jaką umiał utrzymać wszędzie, za co mu bez zaprzeczenia znak zasługi przynależy. Wprawdzie Anglicy hardo zadarli nosa, a Serbowie chwycili się za bary z Bulgarami, ale jak według przysłowia, złapał kozak tatarzyna a tatarzyn za łeb trzyma, tak komisya wydelegowana przez Europę zjechała do Pirotu, zjadła obiad choć obozowy ale bardzo smaczny i potem powaśnionym nakazała wrócić się na właściwe stanowiska i żyć z sobą w zgodzie aż do 1 Marca b. r.

Co z tego dalej wyniknie, trudno odgadnąć. Bulgarya nie jest-to dzicz jak ją nieprzychylni starają się przedstawić. Szczególniej w dolinach u podnóża Bałkanów, zdala od wielkich dróg, znajdują się zamożne miasta, prześliczne wioski, ukryte pomiędzy owocowemi drzewami, pola dobrze uprawne, a na nich tytoń, len, konopie, kukurydza i t. p.

Bulgar każdy zaleca się zamiłowaniem do pracy i oszczędności, posiada więc dwa najważniejsze czynniki do zamożności prowadzące. Prawie we wszystkich miastach znajdują się kupcy nawet bardzo zamożni, utrzymujący stałe stosunki z Zachodem.

Bulgar różni się wielce od Serba. Serb jest żywszy, otwartszy, bardziej rycerski i poetyczny, ale mniej od Bulgara pracowity i wstrzemięźliwy. Bulgar jest zimny i zamknięty w sobie, bardziej myślący a nawet mrukliwy, kroczy wolno lecz pewno do wytkniętego celu. Serb podobniejszy jest do Polaka, Bulgar do Czecha, pierwszy przyczynia się więcej do rozwoju naukowego, drugi do ekonomicznego. Anglicy Bulgarów bardzo chwalą i ogólnie utrzymują, że stanowią rasę krzepką, silną, płodną, moralną, która wyrobi się na wybor-

ne społeczeństwo wolne i w dobrym bycie. Konstytucya nadana przez Rossyą Bulgarom, należy do najliberalniejszych, równająca się belgijskiej i oparta na głosowaniu powszechnem. Prasa jest wolna bez kaucyi i cenzury; prawo zebrań i stowarzyszeń nieograniczone; trybunały wszystko sądzą, konfiskaty nie istnieją; własność nietykalna, każde prawo lub nowy podatek musi być zatwierdzony przez zgromadzenie narodowe, wychowanie obowiązkowe i bezpłatne. Każdy Bulgar umiejący pisać i czytać jest wyborcą w dwudziestym roku życia.

Zawdzięczając tyle Rossyi, cóż dziwnego, że Bulgarzy z uśpienia odwiecznego szybko wydobywając się, we wszystkich kierunkach rozwijają się bardzo pomyślnie.

Życzymy im jak najlepszego powodzenia jako pobratymcy i spowinowaceni niejako z ich księciem Aleksandrem Batenbergskim.

Matka bowiem jego, Julia, urodzona w Warszawie dnia 27 Listopada 1825 roku, była córką jenerała Maurycego hrabiego Hauke, ministra wojny, którego protoplasta także Maurycy, Flamandczyk, osiadł tu przed stu laty. Mając zaledwie lat dziewięć, młodziutka Julia już była sierotą bez ojca i matki i skutkiem tego pomieszczono ją w instytucie wychowawczym ś-tej Katarzyny, jednym z najwykwintniejszych w Petersburgu.

Mając lat 16, przebywszy czas krótki u siostry w Warszawie, zaskarbić umiała sobie prawdziwą życzliwość, wesołem a miłem usposobieniem, podniesionem przez wdzięk naturalny i krasę młodości.

Po powrocie do Petersburga, mianowana damą honorową ówczesnej następczyni tronu, stała się niedługo dumą i ozdobą dworu. Tam-to książę Aleksander Heski, mający zaledwie 27 lat wieku, wówczas jenerał major, przebywający wciąż na dworze, upodobał ją sobie. Książę był na drodze do karyery, ale skutkiem powstałego uczucia, usunął się z zajmowanego stanowiska i wyjechał za granicę.

Skromna dama honorowa, lubo sercem oddana księciu, wiedząc jaka ją przepaść od niego oddziela, nie mając ani majątku, ani stanowiska, opierała się długo uczuciu, niechcąc ukochanemu tamować powodzenia. Wpływ jednak rodziny Heskiej niesprzeciwiającej się małżeństwu przemógł jej skrupuły. Ślub odbył się we Wrocławiu.

Z początku małżeństwo hrabianki Julii, uważane było za morganatyczne, wkrótce jednak do godności książęcej wyniesioną została.

Mąż jej mający sz-zupłe mienie, dla powiększenia dochodu wstąpił do wojska austryackiego, gdzie mianowany jenerałem brygady, odznaczył się w kampanii austryacko-włoskiej.

Wiadomo, że drugi jej syn ożenił się z najmłodszą córką królowej Wiktoryi. Aleksander zaś wybierając się na objęcie tronu książęcego w Bulgaryi, gdy radził się Bismarka jak ma postąpić, ten mu odrzekł:

— Przyjmij książę, bo w każdym razie miłe zachowasz wspomnienie.

Czy tylko na wspomnieniu karyera księcia skończy się, przesądzać tego nie można. Dziś zyskał już wielką w kraju popularność, a młodzież bulgarska rozsypana po uniwersytetach w Wiedniu, w Pradze, Paryżu, w Hejdelbergu i Berlinie, na pierwszą wieść o napaści Serbów na Bulgaryą, zebrała się w Wiedniu z postanowieniem udania się na plac boju.

W pożegnalnej biesiadzie przyjęły udział liczne deputacye wiedeńskich, akademickich stowarzyszeń słowiańskich, a mianowicie: Czechów, Chorwatów, Kroatów, Słoweńców, Rusinów, Polaków, a nawet Włochów, którzy przy wzniesionym toaście oświadczyli, że pragnienie Bulgarów jest spójnią pomiędzy narodami, chociaż różnoplemiennego pochodzenia, i że naród włoski przechodząc przykre bardzo koleje losu, umie cenić szlachetne dążności każdego narodu.

Bankiet przeciągnął się do siódmej wieczorem, poczem liczna drużyna słowiańskiej młodzieży z rozwiniętemi chorągwiami o narodowych barwach bulgarskich, pociągnęła przez ulice najbardziej ożywione ku dworcowi kolei, śpiewając różne narodowe słowiańskie pieśni. Z obu stron idących postępowały liczne tłumy ciekawych, których liczba coraz się bardziej zwiększając, na Ringu już na tysiące liczyć się dała.

Na dworcu obszerne korytarze, czekalnie i restauracyjna duża sala, zalane były publicznością. Odprowadzających braci Bulgarów było przeszło tysiąc i ci utworzyli długi szpaler przez który szła odjeżdżająca młodzież żegnana okrzykami, od których bez żadnej przesady trzęsły się mury obszernego gmachu.

Scena pożegnania była porywającą. Ściskano się, całowano, a we wszystkich twarzach widać było rozrzewnienie i niejedną łzę w oku. Z dworca przeniesiono się na peron napełniony szczelnie publicznością: pociąg stał już w pogotowiu, Bulgarzy zaczęli wsiadać do wagonow, wyniesiono stół na mównicę, a gdy Włoch ukończył swą mowę: Evviva Italia! zabrzmiały okrzyki, niezmiernie się długo przeciągające.

Po mowach ozwały się pieśni: najprzód pieśń bulgarska: *Szumi Maryca*, potem kroacka: *Do boju! do boju!* następnie zaśpiewano inną wielce wzruszającą, a potem słoweńską: *Na prej ślawa!* czeską: *Kde domow moj?* i wiele innych.

Kiedy zaczęto drzwi zamykać do wagonów, bracia Bulgarzy cisnęli się do okien; poruszano kapeluszami, chustkami, żegnano się okrzykami, uściskiem dłoni; we wszystkich językach słowiańskich brzmiało pożegnanie a jednak w tej dysharmonii mnóstwa głosów, była wielka harmonia uczucia. Ściskano się, całowano, płakano z rozczulenia: podnioślejszej też sceny pożegnania trudno sobie wyobrazić.

Piękne to i przejmujące, ale szkoda młodzieży jeżeli przyjdzie jej zmarnować się w zapasach wojennych. Zapału jaki ich porwał, nie można potępiać, skoro nawet Żydzi ożywieni nim, legion z siebie utworzyli i tak bili się dzielnie, że z pięciuset żołnierzy składających go, tylko 125 dotąd ocalało a reszta zginęła pod Śliwnicą, Dragomanem i Pirotem. Dowódzcę tej ich Dawida Mirsach, słusznie książę Aleksander ozdobił medalem za waleczność i to własnoręcznie mu do piersi przypiętym.

Takiemi-to wypadkami naznaczył rok ubiegły ostatnie miesiące swego żywota.

Jakim będzie karnawał tegoroczny? Że długi, to o tem dobrze wiemy, ale czy odpowiednio wesoły i ożywiony, to przyszłość dopiero pokaże.

We Lwowie z powodu obrad sejmowych w Grudniu r. z. odbywały się wielkie zebrania towarzyskie, wystawne wieczory i bale. Marszałek krajowy p. M. Zyblikiewicz, w apartamentach gmachu sejmowego, przyjmował członków królestwa Galicyi, oraz licznych przedstawicieli wszystkich warstw i zawodów tamecznego społeczeństwa. Na wieczór przybyło przeszło 500 osób. Salony przybrane były w pierwszorzędne utwory sztuki, wdzieła Matejki, Rodakowskiego i Siemiradzkiego. Blask piękności kobiet i wytwornych strojów, stanowił z niemi harmonijną całość. Prawie cały Lwów był gościem u p. Zyblikiewicza, a między innemi, arcybiskupi i biskupi wszystkich obrządków, nawet rabini.

Na drugi dzień odbył się wieczór u prezydenta miasta Lwowa, p. Wacława Dąbrowskiego, na który zaproszono osób 600.

U nas w Warszawie, jutro ma się odbyć pierwsza maskarada, przy pustych naturalnie salonach, bo to już weszło w zwyczaj Warszawiaków, na trzecią dopiero gromadzić się a na czwartej dusić, aż do omdleń i łamania żeber. Praktycznie też ktoś poradził, aby karnawał rozpoczynano od trzeciej odrazu maskarady, celem uniknięcia niepotrzebnych kosztów pierwszej i drugiej. Że się Warszawiacy troszkę rozhulają, to wątpić nie należy, ale sądząc z fiaska p. Patti, to hulance nie pozwolą się zbytecznie rozbrykać i trzymać ją będą w karbach rachunku i oszczędności.

Oby te przypuszczenie nie zawiodło nas, jak we Włoszech zawiodła zima, która w samym końcu roku zeszłego, silnym mrozem napadła na słoneczną Italią.

Na lagunach weneckich schwytano łódź, pędzoną przez mroźny wicher a w niej czterech ludzi zmarzniętych, z których jednego już do życia przywrócić nie zdolano. Jest-to pierwszy wypadek tego rodzaju w tych stronach. Z Florencyi, Medyolanu, Ferrary, z wybrzeża Liguryi słynnego z łagodnego klimatu, donoszą również, iż mróz tam dochodził do kilkunastu stopni. W Trewirze i Weronie szalały zawieje śnieżne, biały całun leżał na 12 centymetrów wysokości. W Mesynie, Katanii i Palermo, mieszkańcy jak wielkiemu dziwowisku, przyglądali się wirującym w powietrzu pyłkom śnieżnym. Skutkiem tego we Włoszech mróz ogromne poczynił szkody w ogrodach, winnicach i drzewach pomarańczowych, kwitnących właśnie, z których bardzo wiele zmarzło.

Z powodu wzmianki o legionie żydowskim w Bulgaryi, warto zaznaczyć zabawne zdarzenie w Warszawie przytrafione. Zwyczajem u żydów dotąd praktykowanym, jeden z zamożniejszych kupców zaręczył syna swego z młodą panną ale wcale niepowabną. Gdy przyszło do ślubu, państwo młodzi pierwszy raz na siebie spojrzeli i pan młody tak się przestraszył brzydotą narzeczonej, że uciekł i małżeństwo nie przyszło do skutku. Ale ojciec młodzieńca stosownie do umowy, za zerwanie małżeństwa, obowiązał się zapłacić 5 tysięcy rubli. Znaleziony synek nie dał się wzruszyć prośbami rodzica, żeby więc nie stracić tak znacznej kwoty, ojciec który był wdowcem, oświadczył gotowość zaślubienia niedoszłej synowej. Układ doszedł do skutku, z obopólnem wszystkich zadowoleniem.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Gazeta Lubelska ma się obudzić z długiej martwoty w jakiej pozostawała z krzywdą interesów miasta i okolicy, zajaśnieć nowem życiem i wsparta świeżemi siłami od 1 Kwietnia rozpocząć nową erę działalności.

Oby te zmiany wyszły jej na dobre, pragniemy szczerze. Lublin, ma z wielu względów pierwszeństwo nad całym szeregiem miast prowincyonalnych, okoliczni ziemianie odznaczają się inteligencyą i przedsiębierczością, w samym mieście ludzi inicyatywy także nie brak, dobra gazeta, trzymając się z nimi ręka w rękę dużo zdziałać może.

Idzie więc tylko o to, żeby gazeta stała się *pismem lubelskiem*, o Lublin i okolicę miała staranie, a zaręczyć możemy na pewno, że zyska ogólne poparcie.

Że każdy zakątek kraju potrzebuje mieć swoją własną gazetę, jest to fakt niewątpliwy, dlaczegóżby Lublin był wyjątkiem.

Niepowodzenie tamtejszego organu przekonywa raczej o jego niezdarności, aniżeli o braku zainteresowania ze strony mieszkańców, niech tylko Gazeta Lubelska postara się o dobre artykuły i zdolną redakcyę a wszystko pójdzie jak najlepiej.

*** **Pustelnik.** O kościele w Kruszynie w dekanacie radomskim, ks. Strączyński pomieszcza następujące podanie, które doslownie, za Przeglądem Katolickim powtarzamy:

„W Kruszynie przemieszkiwał w pustelni sam fundator kościoła, Kacper Denhof, wojewoda dorpacki, miejscowy dziedzic.

Według podania, Kacper Denhof pozostawał w stosunkach zażyłej przyjaźni z sąsiadem swoim, niezbyt majętnym szlachcicem, Szafrańcem, dziedzicem Borowina. Stosunki te pochodziły jeszcze z czasu potrzeby wiedeńskiej, w której obadwa brali czynny udział.

Bywali też bardzo często u siebie, syn Denhofa pokochał córkę Szafrańca i zyskawszy wzajemność, pragnął się z nią ożenić. Denhof, lubo bez porównania od Szafrańca majętniejszy, zgodził się na wybór syna.

Wtem król Jan zjeżdża do Kruszyny, przez którą wiodła droga do Częstochowy. Towarzyszyła mu Marya Kazimiera z całym dworem. Gospodarz wysilał się na przyjęcie pary królewskiej, co przy ogromnych dostatkach przychodziło mu łatwo. Teatr nadworny Denhofa i kapela bawiły króla z całym orszakiem.

Widząc zamożność dziedzica Kruszyny, królowa postanowiła ożenić młodego Denhofa z jedną zeswych kuzynek i zwierzyła się z tem ojcu. W starym Denhofie odezwała się duma, zapragnął koligacyi królewskiej i odtąd zakazał synowi bywać w Borownie. Rozkochany syn woli ojcowskiej się sprzeciwił, a słudzy chcąc dopomódz panu, spalili dworek w Borownie, zaparłszy przedtem drzwi i okna. Piękna panna wraz z ojcem znalazla śmierć w płomieniach, młody Denhof odebrał sobie życie, a dumny wojewoda przypisując sobie zgon jedynaka, w uczynkach pokutnych starał się zmyć swą winę. Wystawił kościół, a przy nim pustelnię, w której zamieszkał do śmierci.

*** **W kwestyi sług.** Że uzdolnionych sług mamy bardzo mało, jest to fakt, który niestety zbyt często daje nam się uczuć.

Łatwiej jeszcze znaleźć jaką taką kucharkę, która potrafi przyrządzić kilka potraw, lub jeżeli nie umie, nauczyć ją można bez wielkiego trudu, lecz t. z. młodsza, umiejąca szyć i naprawiać bieliznę i garderobę, jest prawdziwie fenomenalnem zjawiskiem.

Dowiadujemy się właśnie, że powstał projekt, którego zrealizowanie zaradzi choć w części tym niedostatkom.

Grono dam dobroczynnych, z pomiędzy inteligencyi tutejszej, przekonawszy się o wielkiej użyteczności znanej szwalni, przy ulicy Freta, postanowiło bliżej śródka miasta założyć drugą taką samą szwalnię, celem kształcenia uczenic, nie na specyalne szwaczki, lecz na dobre sługi.

Bo istotnie, szwaczek już mamy w Warszawie bardzo wiele, jedna drugiej odbiera zarobek, mnóstwo pracownic na brak zatrudnienia się uskarża, dobrych zaś sług potrzeba jak najwięcej.

Po uzyskaniu aprobaty ze strony władzy, nowa szwalnia zostanie otwartą zaraz po Nowym Roku i zostawać będzie pod nadzorem Warsz. Tow. Dobroczynności, które za jej opiekuna wybrało hrabiego W. Rönikera.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Nasze malarki zagranicą**, zyskują sobie uznanie i przebojem zdobywają pierwszeństwo. Paryzki „Journal des arts" donosi, że z liczby artystek polskich, przebywających w Paryżu dla studyów, pierwsze odznaczenie otrzymała panna Leonia Bierkowska, młoda i utalentowana krakowianka, trzecie panna Dulemba, ósme p. Jabłonowska, jedenaste zaś p. Gażycz.

Jeżeli te, świetnie zapowiadające się talenta, nadal właściwie rozwijać się będą, kto wie, może kiedyś, obok imion sławnych malarzy polskich, głośnych już na całym świecie, zapiszą się kobiece nazwiska.

*** **Nieudany zamach.** Zbolała, ciężko od losu doświadczona hiszpańska królowa, wyszła szczęśliwie z niebezpiecznej sytuacyi, jaka jej groziła. Henryk Bourbon, książę Sewilli, syn zmarłego infanta don Henryka i krewny domu panującego, odbywając w d. 18 b. m., jako jenerał kawaleryi, straż w pałacu królewskim, zażądał audyencyi u królowej Krystyny.

Gdy wymawiając się zmęczeniem, królowa nie chciała go przyjąć, książę rozgniewał się do tego stopnia, że zawołał swoich oficerów i zażądał od nich, aby uwięzili Krystynę i obwołali regentką Izabellę, matkę zmarłego króla.

Oficerowie jednak oświadczyli stanowczo, że nie chcą przyłożyć ręki do wojny domowej, a następnie uwiadomili o całem zajściu jenerała Pawię, który kazał natychmiast księcia aresztować.

Sąd wojenny rozstrzygnie kwestyę, która mogła dla królowej stać się fatalną. W obecnem położeniu zwłaszcza przy znanej lekkomyślności hiszpanów, trzeba tylko iskry, by wybuchnął niszczący płomień bratobójczej walki i pociągnął za sobą cały szereg nieszczęść, których kres przewidzieć trudno.

*** **Nieustająca wystawa** dzieł sztuki we Lwowie z wielką ceremonią w obecności dwóch arcybiskupów i znakomitości całego kraju otwartą została.

W pierwszym dniu znajdowało się na wystawie obrazów olejnych 62, akwarel 16, rzeźb 12. Jak widzimy, wszystkiego razem bardzo niewiele. Początek jednak zrobiony został i zarząd wystawy ogłasza, że wszelkie dzieła sztuki średnich rozmiarów przyjmowane będą w każdym czasie, a koszta transportu opłaca dyrekcya. Co zaś się tyczy dzieł wielkich rozmiarów i bardzo ciężkich, należy porozumieć się z zarządem.

Plany architektoniczne gmachów, będą przyjmowane tylko w ramach.

Pomiędzy naszemi Czytelniczkami znajdzie się pewno niejedna uzdolniona artystka pędzla lub dłuta, podajemy więc te szczegóły, które przydać się mogą.

Kustoszem wystawy mianowany został pan Stanisław Cichocki.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Декабря 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 1.

N. 1. **Suknia** z podpinaną spódnicą à la paysanne. Krój i plecy na dodatku z krojami N. VII, fig. 28—28a.

Do sukni z dyagonalu w grube prążki, koloru *bleu sevres*, ze szlakiem dodanym w sztuce, ubranie stanika i podszewkowej spódnicy jest z szafirowej materyi faille. Na fig. 28 dajemy mały model i miary spódnicy à la paysanne, której brzeg górny od 1 do 394 marszczy się dość gęsto wkoło, a koniec skośnie ścięty do 510, fałduje się do 12 cent. szerokości i całą spódnicę wszywa w pasek w ten sposób, ażeby brzegi boczne schodziły się z sobą. Następnie brzeg boczny oznaczony cyfrą 1, podpina się w pukiel od gwiazdki do gwiazdki, a brzeg krótki tuż przy poprzednim przyczepia się do spódnicy. Nakoniec podpina się spódnicę w miejscach oznaczonych krzyżykami i punktami w sposob wskazany na ryc. 1 i fig. 28a. Do stanika z szalowym kołnierzem krótko nad biodrami podciętego, pod niedochodzące się przody, sznurowane jedwabnym sznurem zaczepianym na guziczki, dodany jest od spodu plastron, z boku na haftki zapięty.

N. 2 i ryc. 42 w N. 2. **Suknia** z chusteczkowem ubraniem na staniku. Forma i oddzielnie podany stanik i spódnica na dodatku z krojami N. VIII, fig. 35—47.

Model sukni odrobiony był z loden i pluszu oliwkowego koloru, a piękne przybranie stanowiły szlaki 15, 5 i 3 cent. szerokie, haftowane na czarnym tiulu ściegiem tamburkowym, jedwabiem zielonym i złotem, i naszyte paciorkami zielonemi drewnianemi. Spódnicę podszewkową 219 cent. szeroką, pokrywa część pluszowa 300 cent. szeroka, z tyłu aż do góry dochodząca, zmarszczona i wszyta w pasek. Draperyę przednią, do której model kroju dajemy na fig. 45, zacząwszy od liczby 1, składa się w gorze w trzy głębokie fałdy, miejsce bez znaków pozostawia gładko, dalej daje się jedną kontrafałdę, 6 do lewej strony założonych fałdek i także wszywa w pasek. Z bocznego, gładko spuszczonego brzegu draperyi z prawej strony, wygląda szlak naszyty na spódnicy, jak to widać na ryc. 42 w N. 2; brzeg lewy sfałdowany do 25 cent. przyszywa się w górze na spódnicy, a brzeg dolny zakończony jest obrębem 4 cent. szerokim. Tylny bryt draperyi mający u dołu obrąb 14 cent. szeroki, a z boków obręby 4 cent. szerokie, marszczy się w górze do 14 cent., wszywa w oddzielny pasek i przypina na haftki do spódnicy; brzegi boczne podpina się w pukiel gwiazdką do gwiazdki i krzyżykiem do krzyżyka, rogi dolne podwija się do spodu na 27 cent. i przyczepia do spódnicy. Na fig. 35-39 dajemy w naturalnej wielkości formę stanika z przodu zapinanego, a u dołu podchodzącego pod pasek, a na fig. 40—43 formę chusteczki z tyłu na środku zapinanej, z prawej strony przyszytej, z lewej na staniku przypinanej. Części chusteczki zeszywa się na ramionach od gwiazdki do dwukropka, w górze z przodu cokolwiek naddaje, z tyłu przymarszcza i wszywa od kropki do krzyżyka w karczek pluszowy, materyą podszyty. Cienkie linijki na formie oznaczają miejsce, gdzie chusteczkę z przodu zaszywa się z każdej strony w 3 do środka schodzące się, a z tyłu w 3 na dwie strony rozchodzące się fałdy, które raz jeszcze przeszywa się u dołu. Pasek bawetowy z przodu na haftki zapinany, przykrawa się z pluszu podług fig. 44. Szlaki haftowane na tiulu podłożone są wszędzie pluszem.

N. 4. **Czapeczka** męzka.

Na modelu czapeczki deseń wytłoczony był na pluszu bronzowym, więc trzeba było tylko wyszyć żyłki jedwabiem, a kontury obwieść sznureczkiem cienkim jedwabnym, takiego samego koloru. Do gładkiego denka mającego 19 cent. średnicy, przyszywa się najpierw 8 cent. szeroki pasek sukna, dopasowany do obwodu głowy, do którego przyszywa się następnie szwem odwracanym szlak haftowany 9 cent. szeroki.

N. 5. **Pantofel** ozdobiony haftem. Forma i deseń na dodatku z krojami N. XIV, fig. 78—80.

Do pantofla ryc. 5 przykrawa się podług fig. 78 podeszwę z grubego filcu, obszywa ją się wstążeczką bronzową, a na wierzch dodaje się drugą podeszwę korkową, pokrytą zwierzchu atłasem bronzowym. Pomiędzy obiedwie podeszwy wszywa się zwierzchnią część pantofla, przykrojoną podług fig. 79 z bronzowego pluszu z podszewką atłasową i wyhaftowaną w gwiazdki podług fig. 80. Pantofel przymarszcza się na palcach od liczby 20—21, ażeby nie był zbyt płaski; brzeg oszywa się sznurem jedwabnym bronzowym, który przykrywa także zeszycie podeszew. Kokardy z atłasowej wstążki.

N. 7 i ryc. 20 w N. 2. **Sukienka** dla dziewczynki lat 4—6. Forma na dodatku z krojami N. V, fig. 21—25.

Ryc. 7 przedstawia sukienkę z piaskowego kaszmiru, ozdobioną koronką wełnianą 8 cent. i pletnią 1—3 cent. szeroką bronzowego koloru, a model do ryc. 20 w N. 2 odrobiony był z kaszmiru jasno szafirowego z koronką i pletnią kremową. Pletnie 1 cent. szerokie naszywa się w odstępach 1 cent.; plastron do stanika szyje się oddzielnie, przyszywa od gwiazdki do dwukropka, do lewej połowy przodu, a pod prawą zapina się na guziczki, do których dodaje się oddzielnie przyszytą listewkę z dziurkami. Zwierzchni materyał pleców trzeba podług cienkich linijek na fig. 23, złożyć z każdej strony w 3 fałdy a u dołu przemarszczyć 4 razy $3^1/_2$ cent. szeroko. Przy przemarszczaniu przyszyte są pletnie szerokie, związane z przodu na kokardę z końcami. Pod spódniczkę 24 cent. długą a 158 szeroką, daje się jak i pod stanik podszewkę z szyrtyngu, przemarszcza się trzy razy podług miary stanika i przyszywa do niego. Koronkę przyszywa się gładko pod trzecim rzędem pletni 2 cent. szerokiej.

N. 8. **Spódnica** od sukni z draperyą.

Ryc. 8 przedstawia jasną atłasową suknię z bardzo ładną i świeżą draperyą tylną, którą dopełnia z przodu w róg zakończona zwykła draperya fartuszkowa. Na draperyę tylną potrzeba bryta prostego, 130 cent. długiego a 200 szerokiego: zakończonego u dołu i z boków obrębem 3 cent. szerokim. Brzeg górny pozostawia się z każdej strony gładko po 9 cent. a dalej układa się w 6 fałd schodzących się w środku i wszywa w pasek. Boczne brzegi na 48 cent. długości przyszywa się nieznacznie, gładko na spódnicy, a dalej podpina się bryt tu i owdzie.

N. 9. **Kamasze** dziecinne. Krój na dodatku z formami N. XI, fig. 66—67.

Kamasze przykrawa się z trykotowego materyału; po zeszyciu oddzielnych części podwija się pojedyńczo brzeg górny i dolny i przestębnowywa dwa razy. Zwierzchnią część stopy zdobi wyszycie łańcuszkowe jedwabiem kordonkowym i małe guziczki stalowe. Strzemiączko z taśmy elastycznej 2 cent. szerokiej, ma 8 cent. długości.

N. 11—14. **Poduszki** do kanapy.

N. 11 i 13—14. **Poduszka** ozdobiona płaskim japońskim haftem.

Największą piękność haftu japońskiego stanowi pyszny dobór kolorów, który trudno dokładnie opisać. Na modelu na tle z atłasu siarkowego koloru, haft płaski robiony był pelą, ściegami jedne w drugie wchodzącemi; kontury odznacza się nitką złotą, przyszywaną nieznacznemi ściegami jedwabiem żółtym. Gałązki i wąsy haftować kolorem jasno zielonym herbacianym, a liście na wewnątrz herbacianym a na zewnątrz niebieskim do cieniu. Pączki wystające pomiędzy wijącemi się gałązkami cieniem żółtawo różowym, cztery duże narożne kwiaty delikatnym cieniem od białego do jasno bronzowego przechodzącym, którego dwa najciemniejsze cienie służą do roboty dwóch kwiatów znajdujących się na dłuższych brzegach poduszki, z obydwóch stron naprzeciw kwiatu środkowego. Żółtawo różowym kolorem robić kwiaty do tulipanów podobne, których szypułki są herbaciane i liście pełnego, środkowego kwiata, którego cztery liście środkowe są niebieskie do cieniu, a kielich jasno herbaciany w muszki ciemne. Oryginalny sposób przymocowania haftu do wysłanej i materyą pokrytej poduszki przedstawia ryc. 13. Do brzegów haftu zwierzchniego przystębnowany był od spodu pasek żółtego atłasu, skośnie zaszyty na rogach, do którego czterech brzegów przyszywa się 8 c. szerokie paski czerwonej brokateli, w trzech rogach także skośnie zaszyte, w czwartym pozostawione luźno, dla łatwiejszego wsuwania poduszki, poczem zawiązują się na kokardkę z wązkiej wstążki; dla lepszego przymocowania wierzchu, przyszywa się do poprzecznych stron na środku dwie krótsze wązkie wstążki, zakończone pentelką 8 cent. długą, a do stron podłużnych dwie wstążki dłuższe, które przewłóczy się przez pentelki i wiąże na kokardę.



Ubrania domowe.

N. 1. Suknia z podpiętą spódnicą à la paysane. Krój i plecy na arkuszu N. VII, fig. 28—28a. N. 2. Suknia z chusteczkowem przybraniem. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 35—47.

N. 12. **Poduszka** haftowana ściegiem sznureczkowym. $^1/_4$ część deseniu na dodatku z formami fig. 29.

Na jasno popielatem tle płóciennem odrabia się haft ściegiem sznureczkowym, rzędami idącemi tuż jeden przy drugim, prawdziwą turecką bawełną, dobrą do prania. Na kontury służy bawełna czarna, do zapełnienia listków i wąsów dwa cienie oliwkowo zielone, arabeski splątane w de-

N. 3. Haft gipiurowy kolorami. Opis w N. 2. Deseń na arkuszu fig. 30.

seniu robić kolorem bronzowym a pojedyńcze figury bronzowo czerwonym. Spód poduszki i wązki pasek koło zwierzchniego haftu dane były z pluszu oliwkowego. Na rogach sute pompony sznelowe.

N. 16. Ścieg do wyszycia na kanwie na pantofle, poduszki i t. p.

Ściegi krzyżujące się w ząb, robić kolorem popielatym w kilku cieniach, a czarne ściegi krzyżowe przewiązane są ściegami niebieskiego jedwabiu.



N. 4. Czapeczka męzka.



N. 5. Pantofel. Krój i deseń wyszycia na arkuszu N. XIV, fig. 78—80.

N. 17—20. Ubrania dla dziewczynek od lat 6—10.

N. 17. Sukienka z paletocikowym stanikiem.

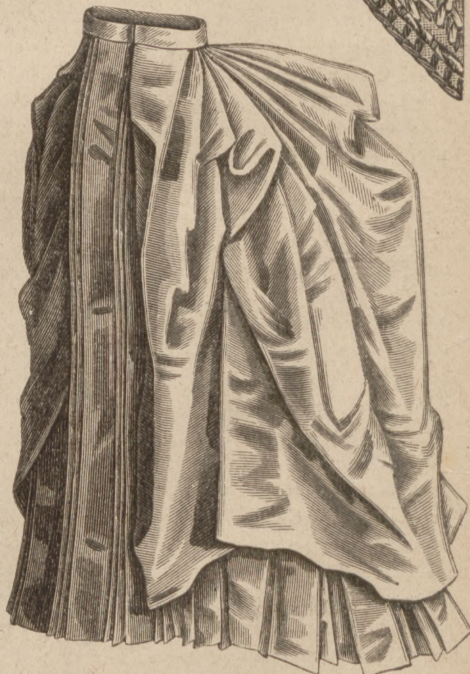
Na modelu do spódniczki wełnianej w paski czerwone i szafirowe, paletocikowy stanik zrobiony był z aksamitu ciemno szafirowego. Luźno puszczone przody zachodzą z boków na szarfę przeciągniętą przez otwory w szwach bocznych i związaną na pleckach na kokardę; pod otwarte przody dodany fałdowany plastron.

N. 18. Sukienka ze stanikiem bluzkowym. Model kroju N. XVII, fig. 83.

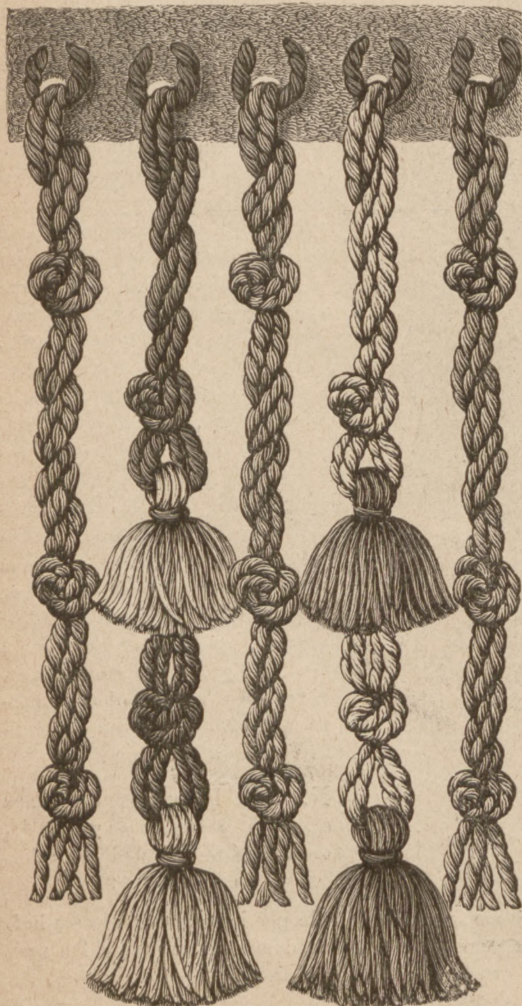
Na małym modelu fig. 83 dajemy miary kroju gładkiej podszewki i marszczonego zwierzchniego materyału, a na fig. 63 jest stosowna forma rękawów. Spódniczkę 200 cent. szeroką, dopełnioną wolantem 21 cent. szerokim, układanym w kontrafałdy, marszczy się wkoło i wszywa w wązki pasek. Przyszycie wolantu przykrywa pliska 6 cent. szeroka, naszyta kilku rzędami sutaszu. Mankiety i pasek także naszyte sutaszem.

N. 19. Sukienka z żabotem.

Sukienka z żabotowem ubraniem stanika, odrobiona z czerwono bronzowego kaszmiru, ubrana była ciemniejszym aksamitem i pletnią różnobarwną.



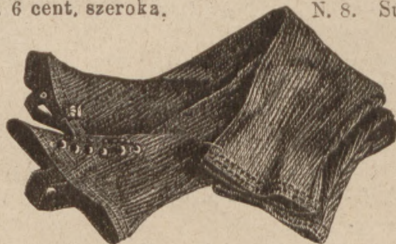
N. 8. Suknia podpinana.



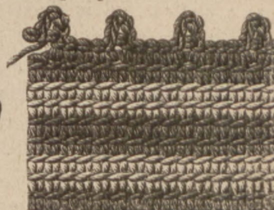
N. 6. Frendzla wiązana. Opis w N. 2.



N. 7. Sukienka dla dziewczynki lat 4—6. Krój na arkuszu N. V, fig. 21—25.



N. 9. Kamasze dla dziecka. Krój na arkuszu N. XI, fig. 66—67.



N. 10. Brzeżek szydełkowy, do ściereczki od kurzu.

N. 20. Sukienka z kamizelką.

Model sukienki odrobiony był z bronzowego dysgonalu i oliwkowego aksamitu. Z tego ostatniego dana plisa 10 c. szeroka, na spódniczce 31 c. długiej a 190 szerokiej, 5 cent. szerokie canwersy przy przodach stanika, patki zapinające kamizelkę i ubranie rękawów.

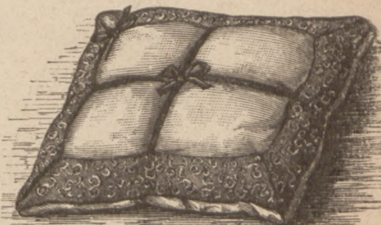


N. 11. Poduszka do kanapy z haftem japońskim. Patrz ryc. 13--14.

N. 12. Poduszka z haftem sznureczkowym. Deseń na arkuszu fig. 29.

N. 23. Ubranie dla chłopczyka lat 7—9. Zobaczyć przód na ryc. 21 w N. 2. Krój na dodatku z formami N. IV, fig. 14—20.

Przy sukience odrobionej z ciemno popielatego wełnianego materyału, stanik podspód i majtki zrobione były na podszewce z perkalu w jasne paski, a bluzka bez podszewki. Zwierzchni szew majtek zeszyć tylko do *i* a dalej zapinać na guziczki; z przodu przyszywa się majtki od *m* do *n* do stanika, z tyłu przypinać do plecków na guziczki. W przodach bluzki i w środku pleców daje się fałdy, które w przodach wpuszczają się pomiędzy szwy na ramieniu, a dalej tylko są zprasowane; w plecach dwie wśrodku schodzące się fałdy wszyte są w karczek, który daje się podwójny. Podszewkę zeszytą z tyłu na środku daje się pod całą szerokość pleców, a materyał zwierzchni nie schodzi się w środku, tylko obie połowy skraca się podług cienkich linijek na fig. 17, fastryguje do podszewki a następnie stębnuje do plecków podług ryc. 23. Także w rękawach wszytych w szeroki mankiet zakłada się podług fig. 18 u góry i u dołu głęboką fałdę. Przecięcie do kieszonki na piersiach podszyć listewką 2 cent. szeroką. W kołnierz wykładany dać klejonkę. Przody i pasek $4\frac{1}{2}$ cent. szeroki, przepięty patkami, zapinają się na czarne rogowe guziki.



N. 13. Lewa strona poduszki ryc. 11.



N. 15. Monogram haftowany bajorkiem złotym i srebrnym.

N. 14. Haft japoński na poduszkę ryc. 11.



N. 16. Wyszycie na kanwie.

N. 24 i ryc. 19 w N. 2. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Krój na dodatku z formami N. II; fig. 5—11.

Model odrobiony był z ciemno szafirowego dyagonalu i białego kaszmiru i ozdobiony białemi stębnówkami. Spódniczkę 18 cent. długą a 175 szeroką, fałdowaną przyszyć trzeba do spodniego stanika, zapinanego z tyłu na guziczki, na którym z przodu (w miejscu oznaczonem cienkiemi linijkami na fig. 5) przyszywa się żabot fałdowany, zrobiony z prostego, 27 cent. szerokiego kawałka białego kaszmiru, którego brzeg górny podchodzi pod przystębnowany karczek. Oddzielnie uszyte części kamizelkowe trzeba przyszyć od gwiazdki do dwukropka, a u dołu od V do krzyżyka, do podszewki otwartych przodów żakietki. W górze przypina się kamizelkę na guziczek do karczka, a z przodu zapina na ładną metalową agrafkę. Lewki zdobiące kołnierz marynarski i karczek, haftowane były ściegiem płaskim, jedwabiem szafirowym; deseń dajemy na fig. 11.



N. 19. Sukienka z kamizelką.



N. 17. Sukienka z kaftanikowym stanikiem.

N. 18. Sukienka z bluzką. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 83.



N. 20. Sukieneczka z kamizelką.

N. 25—27. Namiot dla lalki. Podstawa do namiotu i desenie na dodatku z krojami fig. 33a—33c. Próbki wyszycia ryc. 33 i 34 w N. 2 Tyg. Mód.

Podstawę namiotu mającego 25 cent. szerokości a 40 długości, robić trzeba z prętów trzcinowych i cienkiej deski, sposobem wskazanym na fig. 33; u dołu dać 5 c. wysoką balustradę plecioną z trzciny, podłogę przykryć deseniową ceratą, a dach i ściany pokryć szarem płótnem, ozdobionem kolorowo wyszytemi szlaczkami. Meble robione są z prącików jodły, zbitych maleńkiemi ćwieczkami lub szpilkami. Na poręcze i nogi dobiera się gałązki pokryte pączkami liści. Ryc. 26 przedstawia zmniejszony model krzesła i ławeczki. Stół miał 9 cent. długości, 7 szerokości, a 5½ wysokości; siedzenia krzeseł 4 cent. szerokości. Są także meble z wyciskanej tektury, które płasko rozłożone kupuje się w składach papieru, a następnie nadaje im się formę przez stosowne załamanie tektury i zeszycie ciemnym jedwabiem. Taki fotel przedstawia ryc. 27.



N. 23. Ubranie dla chłopca lat 7–9. Krój na arkuszu N. IV, fig. 14—20.



N. 21. Koszyczek dla lalki.



N. 22. Hamak dla lalki.



N. 25. Pokoik dla lalki. Patrz ryc. 26—27 i fig. 33a–c.



N. 26. Krzesełko dla lalki.



N. 28—29. Dywanik i pantofelki dla lalki.

Opis do N-ru 2.

N. 1—2. Wzory roboty na drutach na ściereczki do kurzu.

Ryc. 1 przedstawia próbkę, której tło w kwadraciki robi się naprzemian 4 o. gł., 4 kr., a po przerobieniu 4 rzędów zmienia się kolej. Na ryc. 2 skośne kwadraciki w połowie robią się gładko, w połowie kręto; wykonanie niezmiernie łatwe, a zmianę oczek gładkich na kręte oblicza się podług próbki.

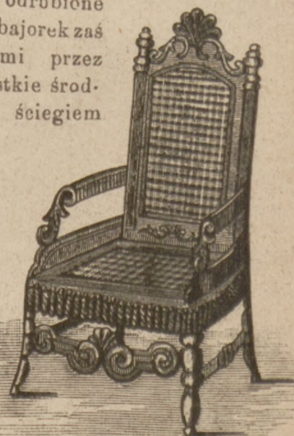
N. 3. Serweta z kolorowym haftem gipiurowym. Patrz r. 3 w N. 1 i f. 30.

Tło serwety z bronzowego pluszu liczy 58 c. w kwadrat i otoczone jest pięknym haftem gipiurowym, którego część w naturalnej wielkości daliśmy w N. 1 na r. 3, a dalszy ciąg przedstawia f. 30 na arkuszu. Tło pod haft stanowi cienkie szare płótno, do wyszycia użyta filozela dzielona po 3 nitki i bajorek złoty. Kontury odrobione ściegiem dzierganym, bajorek zaś przyszywa się ściegami przez wierzch idącemi; wszystkie środki deseniu pokryte są ściegiem sznureczkowym, cierniowym i krzyżowanym. Gdzieniegdzie dla ożywienia dane wyszycie jedwabiem chińskim połyskującym metalicznie.

(*D. n.*)



N. 24. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. II, fig. 5—11.



N. 27. Krzesło dla lalki.



Pl. 634.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.